WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 65 31 MAJA 1977 R CENA 1,50 ZŁ

Dziś „Gwiazdozbiór" na specjalne zamówienie – str. 6

Fot. Jacek Łopuszyński

WIELKIE ŚWIĘTO WARSZAWSKICH HARCERZY

14 maja 1977 roku minęło 10 lat od nadania Chorągwi Stołecznej ZHP imienia BOHATERÓW WARSZAWY. Ten dzień był wielkim świętem ponad 100-tysięcznej rzeszy zuchów, harcerzy i instruktorów ze stolicy i województwa.

Od samego rana ulice Warszawy zaroiły się harcerzami. Wszyscy zdążali na stadion „Legii". Tu odbyła się centralna uroczystość. Na trybunach zebrało się prawie 30 tys. zuchów i harcerzy. Płytę boiska zajęły poczty sztandarowe i drużyny przygotowujące się do defilady.

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Jeden jest taki dzień w roku, gdy świętującymi są najmłodsi! Już jutro! Kolorowe balony, ogromne lody, puchate kremy na porcjach tortu, zabawy, upominki... Jak Polska długa i szeroka, jak długa Europa, jak ogromny jest cały świat – wszędzie świętowany jest Międzynarodowy Dzień Dziecka.

I choć Wy, nasi Czytelnicy, w większości dziećmi już nie jesteście, to... troszeczkę jednak tak. W każdym razie na tyle, że jest to Wasze Święto! Życzymy Wam z całego serca wszystkiego co najlepsze!

Redakcja

VII Międzynarodowy Wakacyjny Turniej Piłkarski „Świata Młodych"

KTO NASTĘPNY?

„Generał" – Krzyż Wielkopolski, „Czarne Perły" – Krosno, „Sokoliki" – Sokółka, „Żbiczki" – Nasielsk, „Tęcza" – Rytel, i „Sudety" – Kłodzko – oto zwycięzcy dotychczasowych turniejów „Świata Młodych", bohaterowie piłkarskich spotkań z pionierami Czechosłowacji, NRD, Rumunii i Węgier.

Już wkrótce, bo 7 czerwca rozpoczynamy VII MWTP. Kto zostanie jego triumfatorem? Jaka drużyna przywdzieje reprezentacyjne stroje i bronić będzie naszych barw w meczach międzynarodowych? Tytuł mistrza może zdobyć każdy zespół. Szczegóły i regulamin turnieju już w sobotę! (zp)

SOSNOWIEC (HSI). Pracownicy kopalni „Czerowne Zagłębie" opiekują się od lat sosnowieckim Liceum Ogólnokształcącym im. E. Plater. Ostatnio grupa przodujących górników

PRZODOWNICY U PRYMUSÓW

spotkała się w szkolnym klubie z najlepszymi uczniami, by opowiedzieć o swym zakładzie, jego historii i codziennej pracy. Z kolei uczniowie pochwalili się swoimi osiągnięciami. A było czym! – Czterech z nich doszło w br. szkolnym do finałów olimpiad przedmiotowych.

(ap)

Termin konkursu na plakat i hasło przedłużony do 10 czerwca!

Z PZU – lecz bez wypadku

Cenne nagrody czekają na autorów haseł (niekoniecznie rymowanych) i plakatów wykonanych dowolną techniką. I hasła, i plakaty mają przedstawiać, objaśniać, reklamować działalność PZU (Państwowy Zakład Ubezpieczeń).

Konkurs ogłosiliśmy w nr 48 z dnia 21 kwietnia. Do udziału w konkursie zapraszamy każdego indywidualnie, zachęcamy też do wzięcia udziału szkolne kółka zainteresowań, pracownie domów kultury, świetlice. Przewidziane są bowiem również nagrody dla instruktorów kółek plastycznych. Plakaty i hasła propagujące działalność PZU należy przesyłać pod adresem redakcji „Świata Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, do dnia 10 czerwca br.

W Boguszowie-Gorcach będzie biblioteka

(HSI). Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że tę bibliotekę mieszkańcy osady budują własnym sumptem. Przoduje w tym młodzież, co wyraźnie widać na fotografii. Należy dodać, że przedstawieni tu młodzi ludzie są uczniami Szkoły Podstawowej nr 5 w Boguszowie-Gorcach. (wm)

Fot. archiwum

Dziś przedstawiamy:

Regionalne towarzystwa kultury

Aż trudno uwierzyć, że jest ich w Polsce ponad pół tysiąca. Skupiają one miłośników regionu, działaczy kulturalno-oświatowych, przyjaciół sztuk pięknych, opiekunów zabytków. Jednym z pierwszych było Towarzystwo Przyjaciół Muzyki, które uroczyście założono w Kaliszu, 8 października 1818 roku, uważając, że „miasto wojewódzkie Kalisz liczy wielu amatorów muzyki i osób dar ten mniej lub więcej posiadających, czemuż by więc idąc za przykładem miast znaczniejszych, nie miało posiadać Towarzystwa więzem przyjaźni i zgody połączonego" – pisał Zygmunt Gloger w „Encyklopedii Staropolskiej". Późniejsze, jak założone w ostatnim trzydziestoleciu Towarzystwo Ziem Zachodnich i Północnych, czy Towarzystwo Miłośników Wrocławia, odegrały ważną rolę w odrodzeniu polskości na ziemiach odzyskanych po II Wojnie Światowej.

Regionalne towarzystwa kultury powstawały zwykle w wyniku samorzutnych inicjatyw społecznych, a współczesne cieszą się poparciem najwyższych władz państwowych. Członkowie tych towarzystw, w liczbie ćwierć miliona, zajmują się różnorodną działalnością kulturalną, artystyczną i oświatową na terenie, na którym mieszkają i pracują. Organizują spotkania i wystawy prezentujące osiągnięcia kulturalne regionu, popularyzują czytelnictwo, otaczają opieką zabytki. Nie ma już chyba w Polsce takiego województwa, w którym nie działałoby co najmniej kilka lub kilkanaście różnego rodzaju towarzystw. Prym wiedzie Katowickie z 24 ośrodkami społecznej pracy kulturalnej.

Godną pochwały cierpliwością i uporem wykazało się Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, które przez 17 lat, społecznym wysiłkiem odbudowało kopalnię srebra i ołowiu. Natomiast krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, założone w roku 1854, roztoczyło m.in. opiekę nad zabytkowym dworkiem Jana Matejki w Krzesławicach, wyposażając jego wnętrza w historyczne meble pochodzące z darów i depozytów członków oraz własnych zbiorów muzealnych. W przyległym parku już wkrótce zostanie urządzona stała galeria rzeźby. Zaliczające się do przodujących olsztyńskie Towarzystwo „Pojezierze" jest założycielem wydawnictwa książkowego, dwóch aktualnie wychodzących czasopism oraz ośrodka badań naukowych. Ono też jest organizatorem rozpoczynającego się 2 czerwca w Olsztynie I Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury.

(tem)

Naszą planetę zamieszkuje półtora miliarda dzieci do lat 15 i tylko jedna czwarta może uznać swoje dzieciństwo za szczęśliwe. Większość najmłodszych obywateli świata, prawie 80 proc., żyje w najbardziej zaniedbanych gospodarczo krajach Ameryki Południowej, Azji i Afryki. Wegetuje tam w warunkach skrajnej nędzy aż 500 milionów dzieci, 20 proc. umiera przed 5 rokiem życia, 43 miliony pracuje zarobkowo, 100 milionów w wieku 7–10 lat nie wie, co to jest szkoła, 100 tysięcy rocznie traci wzrok z braku witaminy A.

SOS
Ratujmy dzieci!

Mają prawo, ale co z tego?

Lista nieszczęść jest długa i po raz pierwszy po 28 latach działalności UNICEF ogłosił stan alarmowy. **W „DEKLARACJI W SPRAWIE NADZWYCZAJNEJ SYTUACJI DZIECI W KRAJACH ROZWIJAJĄCYCH SIĘ"** czytamy: **„O ile nie będą udostępnione znaczne środki na doraźną i długookresową pomoc – całe pokolenie może zostać dotknięte chorobami, ślepotą, niedorozwojem umysłowym wskutek głodu i niedożywienia."**

Międzynarodowe zainteresowanie sytuacją dzieci zaczęło się już po pierwszej wojnie światowej, kiedy miliony skrzywdzone wojną oczekiwały pomocy. W 1920 roku w Genewie powstał pierwszy Międzynarodowy Związek Pomocy Dzieciom, a wiek XX obwołano wówczas Wiekiem Dziecka. W 1924 roku pod protektoratem Ligi Narodów powstała tzw. Deklaracja Genewska formułująca po raz pierwszy prawa dziecka.

Po raz drugi ogłoszono Deklarację Praw Dziecka uchwaloną przez Zgromadzenie Ogólne NZ w listopadzie 1959 roku. Sprecyzowano w niej powszechne, podstawowe zasady obowiązujące w stosunku do dzieci na całym świecie. Jest ich 10, a pierwsza głosi: **„Prawa te rozciągają się na wszystkie dzieci, bez żadnego wyjątku i bez żadnej różnicy albo dyskryminacji z powodu rasy, koloru skóry, płci, języka, wyznania, poglądów politycznych lub innych, narodowości lub pochodzenia społecznego, majątku, urodzenia lub jakiegokolwiek innego powodu, przy czym zasadę tę stosuje się zarówno w stosunku do dziecka jak i jego rodziny."**

Dalsze formułują prawa dziecka do „szczególnej ochrony", stwierdzają, że w każdym kraju odpowiednie ustawy i inne środki mają mu stworzyć wszelkie możliwości i ułatwienia **„dla zdrowego i normalnego rozwoju fizycznego, umysłowego, moralnego, duchowego i społecznego w warunkach wolności i godności."** Jest tam mowa o opiece lekarskiej, ubezpieczeniach społecznych, obowiązkowej bezpłatnej nauce w zakresie szkoły podstawowej. Zasada 9 stwierdza:

„Dziecko należy chronić przed wszelkiego rodzaju zaniedbaniem, okrucieństwem i wyzyskiem. Nie wolno przyjmować do pracy zarobkowej przed osiągnięciem odpowiedniego wieku."

Takie prawa ma mały Pakistańczyk, dzieci indyjskie, indonezyjskie, te z Bangladeszu i Kostaryki, podobnie jak z każdego innego kraju na kuli ziemskiej. I co z tego, skoro dla większości te prawa pozostają w sferze marzeń. Ponad 800 milionów żyje bowiem w krajach, w których dochód narodowy na jednego mieszkańca nie przekracza 100 dolarów. Są kraje, np. Bangladesz, gdzie ten dochód, jest jeszcze mniejszy, uniemożliwiający wszelki postęp, a mimo to przeznacza się duży procent dochodu narodowego dzieciom i młodzieży. Są to wysokie procenty, ale zarazem najniższe kwoty bezwzględne w stosunku do krajów uprzemysłowionych. Oczywisty staje się fakt, że bez zmian politycznych, gospodarczej pomocy krajów bogatszych, wprowadzenie tych praw w życie jest niemożliwe. Nim jednak dokonają się w krajach najbiedniejszych przemiany polityczne i gospodarcze, doraźnie działa Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (United Nations Children's Fund), czyli UNICEF.

Kropla w morzu potrzeb

UNICEF powstał po II wojnie światowej (1946 rok) i działa jako „światowa organizacja do spraw dzieci". Rada Wykonawcza składa się z 31 państw, a 128 krajów świadczy dobrowolne składki na rzecz pomocy dzieciom. Budżet tej organizacji w 75 proc. stanowią więc składki różnych krajów, reszta są to dotacje osób prywatnych, dochody ze sprzedaży kalendarzy, kart świątecznych i imprez organizowanych przez UNICEF.

W ciągu 25 lat swego istnienia UNICEF dzięki swej działalności wyleczył np. 43 miliony dzieci z jaglicy, 13 milionów z framboezji (choroba zakaźna występująca w krajach tropikalnych), 500 tysięcy z trądu (choć nadal dotkniętych trądem pozostaje 11 milionów dzieci i 40 milionów choruje jeszcze na jaglicę), z funduszów UNICEF wyekwipowano 55 tys. ośrodków zdrowia w 132 krajach, wyszkolono setki pediatrów, pielęgniarek, nauczycieli, zaszczepiono przeciw gruźlicy blisko 400 milionów dzieci, wyposażono 250 mleczarni i zakładów spożywczych, opracowano program uzyskania wody pitnej w 35 krajach Afryki, 23 krajach Azji i 19 krajach Ameryki Płd.

UNICEF uratował życie wielu milionom dzieci, ale działalność tej arcypożytecznej i pięknej organizacji jest kroplą w morzu potrzeb. Opiekuje się ona około 100 milionami dzieci, a dalsze 900 milionów tej pomocy oczekuje. Budżet UNICEF jakkolwiek rośnie z roku na rok – ciągle jest jeszcze za mały. Obliczano, że wystarczyłby jeden miliard rocznie przez 15 lat, aby zaspokoić najbardziej palące potrzeby dzieci w krajach rozwijających się. Tymczasem budżet tej organizacji sięga niewiele ponad 150 milionów!

Nie ma cudzych dzieci

Na domiar złego najwięcej dzieci rodzi się tam, gdzie warunki życia są najgorsze. W ciągu każdych 30 sekund w krajach Trzeciego Świata przybywa setka dzieci. Podział funduszów na świecie zaś jest taki, że na pomoc umierającym i głodującym dzieciom przeznacza się rocznie 2 500 razy mniej niż na ogólnoświatowe zbrojenie.

W roku 1976 Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych proklamowało rok 1979 Międzynarodowym Rokiem Dziecka. Program obchodów ma na celu ukazanie potrzeb dzieci w krajach rozwijających się tak, aby wstrząsnąć wyobraźnią sytych, podsunąć rządom i parlamentom państw bogatych prosty rachunek, że za cenę jednego bombowca można zbudować 30 nowoczesnych szkół lub elektrownię dającą siłę i światło miastu o 120 tys. mieszkańców albo wielopasmową autostradę długości 80 km, że zamiast uzbrojenia jednej dywizji pancernej można wznieść w pełni wyposażone miasto z 32 tysiącami domów jednorodzinnych.

Rachunek jest tak prosty i logiczny, że aż dziwna się wydaje niemożność wprowadzenia go w życie, a jednak... Gdybyż to choć ten Rok Dziecka przyczynił się do zrozumienia i upowszechnienia tej prostej prawdy, którą wyraziła polska poetka Wisława Szymborska:

„Powiadali, nauczali
dobrzy ludzie:
nigdy dziecko, żadne dziecko
nie jest cudze".

BARBARA TYLICKA
Fot. archiwum

Zatrudnić słońce

W tym roku we francuskiej miejscowości Odeillo w Pirenejach odbyła się „światowa premiera" uruchomienia pierwszej w dziejach elektrowni słonecznej. Początek jest bardzo skromny, moc „Odeillo" wynosi zaledwie 64 kilowaty. Jest zatem stokrotnie mniejsza od małych elektrowni konwencjonalnych. Niemniej sukces inżynierów francuskich jest bezsporny, stanowi ważny krok na drodze w ujarzmianiu energii słonecznej.

Słońce, przekształcając co sekundę w procesie syntezy termojądrowej ponad 650 milionów ton wodoru w hel, wypromieniowuje w przestrzeń niewiarygodne wprost ilości energii. Do Ziemi dociera zaledwie ułamek procenta tej ilości, przeciętnie każdy metr kwadratowy powierzchni globu, przy czystym niebie, otrzymuje 1 kW energii. Energia ta jest więc bardzo rozproszona. Ponadto dociera do nas nierównomiernie – najwięcej w pasie równikowym – a także z przerwą w nocy. Problem wykorzystania i „ujarzmienia" energii słonecznej sprowadza się więc przede wszystkim do umiejętnego jej skoncentrowania, a następnie zmagazynowania.

Zadanie teoretycznie nietrudne, w realizacji nastręcza sporo kłopotów. W Odeillo problemem tym zajmowano się od wielu lat, dopiero w 1969 roku uruchomiono „piec słoneczny", który obudził nadzieję na wykorzystanie energii Słońca na skalę przemysłową. W Odeillo, miejscowości położonej na wysokości 1600 m, występuje przeciętnie 180 dni słonecznych w roku. Zbudowano tu skomplikowany zestaw zwierciadeł, które „chwytają" słoneczną energię, następnie koncentrują i kierują ją na kocioł. W ten sposób można go ogrzać do temperatury 3000 stopni. Uzyskane ciepło od kilku miesięcy przetwarzane jest w energię elektryczną, podobnie jak to się robi w zwykłych elektrowniach cieplnych. Koszt produkcji elektryczności w elektrowni słonecznej jest znacznie wyższy niż w elektrowniach tradycyjnych. A jednak wynik w Odeillo musi być zachęcający, skoro Francuzi zamierzają wybudować kolejną elektrownię (w okolicach Marsylii lub Nicei), której moc będzie liczona już w megawatach. Ze wstępnych wyliczeń wynika, że elektrownia słoneczna o mocy 10 MW będzie wymagała zestawu luster o łącznej powierzchni prawie pół miliona metrów kwadratowych.

Do ujarzmienia energii słonecznej zabrali się również Amerykanie. Zamierzają oni na początek zbudować elektrownię słoneczną również o mocy 10 MW. Ma ona się składać z pola zwierciadeł, w centrum którego wznosić się będzie stumetrowa wieża z umieszczonym na szczycie kotłem parowym. Zwierciadła będą odbijać i ogniskować promieniowanie słoneczne na kotle, gdzie wytwarzać się będzie para napędzająca turbinę sprzężoną z generatorem prądu. To na początek, w przyszłości planuje się budowę elektrowni słonecznych o mocy 1000 megawatów, a więc prawdziwych kolosów poważnie liczących się w ogólnym bilansie energetycznym.

Oprócz budowy elektrowni słonecznych prowadzi się również eksperymenty z wykorzystaniem energii słonecznej do ogrzewania domków jednorodzinnych. W tej chwili takich „słonecznych" domów jest około 200. Energia słoneczna przeobraża się tu w ciepłą w rozmieszczonych na dachu kolektorach. Jest to układ rurek, którymi przepływa woda. Nagrzewając się, gromadzona jest w podziemnym zbiorniku spełniającym rolę akumulatora ciepła. Ze zbiornika tego ogrzana woda wykorzystywana jest do celów ogrzewczych w kaloryferach, a także na inne potrzeby domowe. Podobno koszt takiej instalacji zwraca się po 10 latach.

Najprostszym i najwydajniejszym sposobem wykorzystania promieniowania słonecznego już w tej chwili są tzw. ogniwa fotoelektryczne, zdolne do przetwarzania energii promienistej bezpośrednio w elektryczną. Na razie stosuje się je tylko na statkach kosmicznych, a to ze względu na bardzo wysokie koszty takich ogniw. Jeśli więc opanujemy produkcję tanich ogniw, kłopoty z brakiem energii odpadną raz na zawsze. Słońce, według obliczeń astronomów, z podobną intensywnością jak dziś świecić będzie jeszcze przez następne 6 miliardów lat.

STANISŁAW BOROWIECKI

WIEM, ŻE ZBIERASZ AKTORÓW I ZNACZKI...

Lusce najbardziej zazdrościłam tego, że zna język rosyjski. Nawet dawałam jej się od czasu do czasu terroryzować i w zamian za obietnicę opowiedzenia rosyjskiej bajki kroiłam jej z kawałka jakiejś szmatki sukienkę dla lalki. Bo ja byłam wtedy, w czwartej klasie, dobra w szyciu. A Luśka była kompletna noga. Ale za to umiała mówić po rosyjsku. Co prawda nie jej to była zasługa, że miała mamę Rosjankę i urodziła się na Uralu, ale powód do imponowania innym był. Jej mama zresztą, chociaż kilka lat już mieszkali w Polsce, jeszcze po polsku dobrze się nie nauczyła, więc jak bywałam u Luśki w domu, to musiałam się też co nieco rosyjskiego nauczyć. Ale Luśka umiała o wiele więcej.

Tak było przez całą czwartą klasę. Kiedy poszłyśmy do piątej i zaczęłyśmy uczyć się rosyjskiego już normalnie, w szkole, okazało się, że... Luśka wcale nie jest taka gwiazda. Bo mówić, to mówi, ale pisać nie potrafi i stawia takie same do niczego niepodobne krzywe „bukwy" jak i my wszyscy. Wtedy... poczułam się znacznie raźniej i od razu powzięłam perfidny pomysł – że w mówieniu, to pewnie jej nie prześcignę, ale w pisaniu, to i owszem. Ze skóry wyjdę, a będę lepsza! I faktycznie byłam. Pod koniec piątej klasy wszyscy malowali rosyjskie literki z wysuniętym jęzorem. Luśka też, a ja pisałam każde, najdłuższe nawet słowo, jednym ciągiem. I nawet odczytać się dawało!

Здравствуй тётя Ва.

Мама мне про вас рассказывала, вы хотите переписоваться, вы собираете марки, артистов, тикетки.. Я хочу с вами теперь переписоваться.

Pani od rosyjskiego widząc moje wysiłki i postępy – biedaczka, pewnie do dzisiaj nie wie, że wcale nie sympatia do niej lecz chęć zrobienia Lusce na złość mną kierowała – dała mi wtedy kilka listów od dzieci ze Związku Radzieckiego. To była duża nagroda, bo na ogół dostawali je uczniowie z siódmej, a w najlepszym wypadku z szóstej klasy. Luśka doceniła zaszczyt, który mnie spotkał – zzieleniała ze złości. „Phi, ja też mogę korespondować po rosyjsku, mam tam kuzynki!" – powiedziała. Ale nie korespondowała z nimi. Bo nie umiała jeszcze dobrze pisać. A ja wysmażyłam cztery identyczne listy. Było to w czerwcu 1957 roku.

Odpowiedzi nadeszły szybko. Trzy były bardzo długie i sprawiły mi jednak (ale Luśka o tym się nie dowiedziała!) ogromny kłopot, a jedna – króciutka. Że – dostałam Twój list, dziękuję, chcę z tobą korespondować, też chodzę do piątej klasy, na imię mam Wiera.

Poczułam do tej nieznanej jeszcze Wiery ogromną sympatię. Że taka miła, bo się za bardzo nie rozpisuje! Ogromnie mi ten

CIĄG DALSZY NA STR. 4

WIELKIE ŚWIĘTO WARSZAWSKICH HARCERZY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Gości i harcerzy przywitała Komendantka Chorągwi Stołecznej, Barbara Prószyńska, która przedstawiła 10-letni dorobek organizacji. A mają się czym pochwalić warszawscy harcerze. Uczestniczyli oni w wielu akcjach, poznawali stolicę, jej historię i teraźniejszość, zewidencjonowali wszystkie miejsca pamięci narodowej w woj. stołecznym. W ramach akcji „Kampinos 80" objęli stały patronat nad Kampinoskim Parkiem Narodowym – jedynym tego typu obiektem na świecie oddanym pod opiekę młodzieży – i Centrum Zdrowia Dziecka.

Sekretarz KC, I sekretarz KW PZPR Alojzy Karkoszka i prezydent m. st. Warszawy Jerzy Majewski wręczyli najlepszym instruktorom Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski i Złote, Srebrne oraz Brązowe Krzyże Zasługi. Do wszystkich harcerzy słowa podziękowania za pracę i życzenia jak największych sukcesów w działaniu skierowała sekretarz KW, przewodnicząca Stołecznej Rady Przyjaciół Harcerstwa – Jolanta Matuszewicz.

Teraz nastąpił szczególnie uroczysty moment. Naczelnik ZHP, Jerzy Wojciechowski udekorował sztandar Chorągwi najwyższym odznaczeniem organizacyjnym – Krzyżem „Za zasługi dla ZHP". W chwilę później uroczyste przyrzeczenie harcerskie złożyło 53 zuchów, reprezentantów wszystkich hufców. Krzyże i legitymacje harcerskie zuchy otrzymały od byłych żołnierzy „Szarych Szeregów" i członków Stołecznej Rady Przyjaciół Harcerstwa.

Ruszyła defilada. Na czele wesoła, kolorowa grupa zuchów w barwnych chustach, z balonikami, wiatraczkami, zabawnymi emblematami. Maszerowała także drużyna honorowa Chorągwi Stołecznej ZHP i harcerze 10 najlepszych hufców.

Tego samego dnia przedstawiciele Chorągwi złożyli kwiaty w miejscach pamięci narodowej, a po południu kadra instruktorska spotkała się na ratuszu z władzami miasta. (pas)

Fot. J. Łopuszyński

WIEM, ŻE ZBIERASZ AKTORÓW I ZNACZKI...

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

zwięzły styl wtedy odpowiadał. Dopiero znacznie później, po wielu latach, zrozumiałam, że Wiera była po prostu w takiej samej, albo podobnej, sytuacji jak ja. Będąc Łotyszką też dopiero uczyła się języka rosyjskiego. Pewnie dłużej ode mnie, ale w każdym razie tak jak i ja nie czuła się w tej dziedzinie zbyt pewnie.

Z biegiem jednak czasu obydwie się umocniłyśmy. Listy między Warszawą a Wilianami na Łotwie kursowały często i były coraz dłuższe. A w listach różności – i o mamie, i o tacie, i o chłopaku z podwórka, który bije dziewczyny i rady na niego nie ma... Zupełnie takie same problemy były na podwórku wiliańskim, co warszawskim i bardzo dodawało otuchy, że... nie tylko u nas jest taki chłopak, co bije.

Obydwie zbierałyśmy znaczki pocztowe, zdjęcia aktorów i piosenki. Posyłałyśmy sobie płyty, radziłyśmy wzajemnie, jaką sukienkę uszyć z kretonu w biało-granatową kratkę. Wiera też była mocna w szyciu więc słałyśmy sobie wykroje i rysunki różnych modeli.

Kiedy byłam w VIII klasie, dostałam od Wiery książkę. Strasznie była gruba i wydrukowana okropnie małą czcionką. W pierwszym momencie odłożyłam ją na półkę, ale gdy zmogła mnie jakaś grypa i już nic nie miałam do czytania, sięgnęłam po nią i... przeczytałam jednym tchem. Akurat przyszła mnie odwiedzić Luśka, ciągle mieszkałyśmy na jednej klatce, choć chodziłyśmy już do różnych szkół. „Co, czytasz po rosyjsku?!" – zdziwiła się. A ja na to: „Och, od dawna już. A Ty co, Ty nie czytasz?! Chcesz, to Ci pożyczę!" Nie chciała. Niech żałuje! O kapitanie Klossie nikomu się jeszcze wtedy nie śniło, a to było właśnie coś w tym stylu. Teraz to nawet i jej polski tytuł znam, bo później dowiedziałam się, że jest wydana i po polsku – „Baron von Goldring". Było to jesienią 1959 r.

Od tamtej pory Wiera często przysyłała mi książki, a moja nauczycielka rosyjskiego w ogólniaku wychwalała pod niebiosa moją nauczycielkę rosyjskiego z podstawówki. Że taka niby byłam dobra. Jednego żałowałam wtedy – że Luśka poszła do innej szkoły i nie może tego słyszeć.

Gdy byłam w IX klasie dostałam rower. Tak się złożyło, że Wiera też, w tym samym tygodniu. Jejku, jakie rajdy korespondencyjne uprawiałyśmy! Wysyłałyśmy sobie takie zadania: „W sobotę po południu wyjedź za miasto, przejedź 10 kilometrów, a o 16.00 stań na chwilę i pomyśl o mnie! Ja też będę!"

A potem... potem jakoś ta dziecinna przyjaźń korespondencyjna się przerwała. Jeszcze w X klasie wymieniłyśmy kilka listów i to były chyba ostatnie. Potem były jeszcze jakieś kartki noworoczne z dopiskiem: „Co słychać, odezwij się wreszcie!" – raz czy dwa ja taką wysłałam do Wiery, raz czy dwa Wiera do mnie i... żadna już się nie odezwała. Zdarza się – dorosłyśmy, miałyśmy nowe sprawy, nowe zainteresowania... Było to w okolicach 1962–1963 roku, 14–15 lat temu.

Bez przesady, nie wspominałam Wiery codziennie przez te lata. Dwa, trzy, może cztery razy zdarzyło mi się pomyśleć: „Ciekawe, co się też z nią dzieje?!" I na tym koniec.

Tak mi się w każdym razie dotychczas wydawało. Bo nadszedł maj 1977 roku. A w pierwszym tygodniu maja list. Zdziwiłam się. Nazwisko moje, imię moje, adres też mój, choć sprzed lat, ale nazwisko nadawcy – jakieś obco brzmiące. Nie, zupełnie nie mam pojęcia, kto to może być. Chociaż... tak jakby nazwa miasta była mi znajoma, ale – tyle przecież jest miast na świecie! Zaintrygowana otwieram kopertę, sypią się z niej pocztowe znaczki. Zaczynam czytać „Droga ciociu Ewo! Wiem, że zbierasz aktorów i znaczki..."

Nadawcą nieoczekiwanego listu okazał się... Sasza, 9-letni syn Wiery. Wiera przechowała wszystkie moje stare listy, Sasza je przeczytał, przypadły mu one do gustu – pochwalił mnie, że mu się bardzo podobały – i postanowił, że ... skoro mama już nie zajmuje się wymianą znaczków, to w takim razie on przejmie rodzinną pałeczkę. Bardzo się Sasza w tym liście sumitował, że w sprawie aktorów, to... on, tego, nie bardzo, ale aktorami to dziewczyny się interesują, a on nie.

I cóż? Nie pozostaje mi nic innego jak na nowo zająć się zbieraniem znaczków...

EWA KŁOSIEWICZ

Stu czterdziestu pracowników na jutro...

„Kiedy przyszedłem na to stanowisko, powiedziałem swoim współpracownikom: panowie, mnie spór o jedną śrubkę nie interesuje, macie przecież większe w tych sprawach rozeznanie. Ale poważniejsze problemy... proszę bardzo, dzwońcie w nocy, ściągajcie mnie z urlopu, słowa nie powiem. I jakoś utarło się, że każdy w ramach swoich uprawnień najpierw wyczerpuje własne możliwości, potem dopiero, gdy czemuś nie może podołać – przychodzi do mnie..."

Jak z urlopem dyrektorze?

Godzina dziewiąta rano. Sekretarka zanotowała już kilka spraw do załatwienia. Z dziesięć czeka już od soboty. Poniedziałek, ogromny zakład startuje do kolejnego tygodnia pracy – i jest to start godny sprintera. Rachunek prosty: każda godzina zwolnionych obrotów kosztowałaby setki tysięcy złotych.

Piętnaście minut spokojnej rozmowy: pierwszy telefon. Zgłasza się Augustów. „Tu **Tadeusz Wikło**, Zakłady Radiowe „Kasprzaka" w Warszawie. Panie doktorze, chciałbym dowiedzieć się o stan zdrowia mojego pracownika, wiem, że przedwczoraj miał wypadek samochodowy... Tak, rozumiem... No cóż, oby po tym miesiącu wszystko było dobrze. Dziękuję!"

A więc po pierwsze, szybko ustalić, kto będzie prowadził sprawy niefortunnego kierowcy. Przy okazji krótkiej narady załatwić problem produkcji głowic magnetofonowych i obsady produkujących je linii. Brakuje stu czterdziestu osób, zbliża się okres urlopowy, może być niedobrze. Załatwić! Jak to zrobić?

– Będę zaraz próbował coś zdziałać, ale nie jest to takie proste. Byłoby cudownie, gdybym mógł siedzieć za biurkiem i decydować tylko: zróbcie to, przyspieszcie tamto, ściągnijcie nowych pracowników. Z głowicami miała nam pomagać Politechnika, nawet pierwszą część umowy wykonali na „sto dwa". A teraz brakuje im podzespołów hydrauliki i sprawa przeciąga się. Ludzi też spod ziemi skinieniem ręki nie wydostanę. Potrzebni są już, będą najwcześniej za kilka dni. Chodźmy, jestem umówiony w hali magnetofonów szpulowych...

Załoga tego działu fabryki to w większości kobiety. W ich rękach tysiące tekstolitowych płytek drukowanych, w które wlutowuje się kondensatory, oporniki i mnóstwo innych elementów. Praca na tempo, taśma przesuwa się jednostajnym ruchem tam, gdzie magnetofonowe wnętrze układa się w obudowie. I właśnie z obudową jest dzisiaj kłopot, nie przyszły na czas wypraski z tworzywa sztucznego, maskujące głośnik. Przyspieszyć więc dostawę – zgoda, ale... dział wytwarzający ten detal ma awarię, uległa uszkodzeniu plikowana wtryskarka. Kiedy naprawią? Jeszcze dzisiaj... „Panowie, róbcie wszystko, ta maszyna musi działać zaraz, inaczej będzie ciężko wykonać plan dzienny".

Jedenasta trzydzieści. Wędrujemy do działu obróbki mechanicznej. Radio-magnetofony i magnetofony to w dużej mierze zmontowane części metalowe, bez których nie wyjdzie z fabryki ani jeden magnetofon. Dyrektor staje obok maszyny, która jako jedyna pozbawiona jest w tej chwili obsługi. Nie, to nie automat, chociaż firma najprzedniejsza. Wysiadło jedno jedyne łożysko za kilka dolarów i klops. Czekamy już któryś tydzień z rzędu na jego dostawę z importu. Wspaniałe parametry, najnowszy system sterowania – i co z tego, jak wszystko nieprzydatne. – Panie – mówi mistrz obróbki wiórowej – co ja się za tym łożyskiem nachodziłem po instytucjach. – Zaopatrujemy was centralnie – mówią – to czekajcie aż się zbierze więcej takich nietypowych zamówień.

Chodzi? Nie chodzi. Produkcją trzeba obciążyć dodatkowo inne automaty. I dopilnować, aby to przestawienie nie odbiło się na jakości. Teoretycznie proste...

Trzynasta. Znów w gabinecie. Za stołem przedstawiciele działów, które dzisiaj stanowią newralgiczny punkt produkcji. Lecz przedtem ponownie wychodzi problem zatrudnienia, nie tylko zresztą przy taśmie. „Kasprzak" ma własny ośrodek zdrowia. Brakuje średniego personelu medycznego. „Problem nie tylko tej placówki służby zdrowia, ktoś mógłby powiedzieć. No tak, ale w „Kasprzaku" za dyrektora mają właśnie mnie i do mnie ze swoimi problemami przychodzą. Trzeba to będzie jakoś rozwiązać..."

Dział reklamacji ma kłopoty. Zgłaszają się właściciele magnetofonów, które przestały być produkowane dziesięć lat temu. Żądają części zamiennych. Właśnie tak – żądają, nie proszą. Trzeba ustalić, czy przypadkiem gdzieś w magazynach nie ostały się fragmenty obudowy do popularnej ongiś „Tonetki". Nie ma? Trudno. Piszcie, przepraszajcie, wyjaśniajcie. Bo co innego można zrobić?

Telefon. „Panowie, przepraszam, muszę jechać do zjednoczenia, czekają już kilkanaście minut. Moi zastępcy służą wszystkimi dodatkowymi informacjami".

* * *

Można by rzec i tak: dzień niezwykły, początek tygodnia, wszędzie mogą występować podobne spiętrzenia zajęć. Nic bardziej mylnego! Odwiedziliśmy dyrektora Tadeusza Wikło jeszcze raz, w środku tygodnia. Inne były sprawy. Ale tempo ich napływania dokładnie to samo. Gdy dyrektor chciał odpowiedzieć, gdzie w tym roku spędza urlop, podał nam trzy różne wersje. „Zabezpieczam się, nie wiem do ostatniej chwili, z której wersji będę musiał zrezygnować".

MAREK ZARĘBSKI

Fot. **Jacek Łopuszyński**

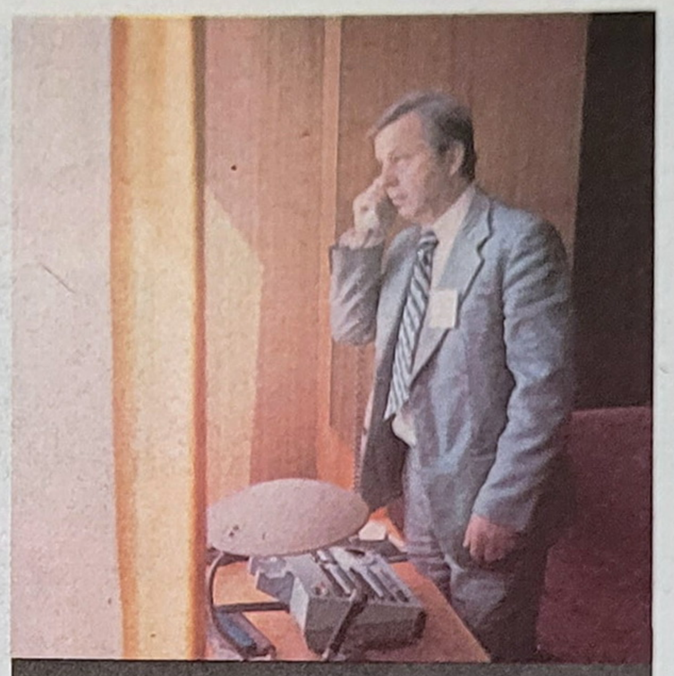

Jeden ze współpracowników nie przyjdzie. Miał wypadek samochodowy...

Na końcu tej taśmy wnętrze magnetofonu powinno spotkać się z obudową. Tego dnia były kłopoty...

To też fabryka sprzętu elektronicznego – dział mechaniczny.

ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA I WIECZOROWE TECHNIKUM BUDOWLANE W JAWORZNIE

Chorzowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego ogłasza zapisy na rok szkolny 1977/78 do klas I Zasadniczej Szkoły Budowlanej Przyzakładowej dla absolwentów szkół podstawowych o następujących zawodach:

o 2-letnim okresie nauczania
- murarz-tynkarz
- malarz budowlany
- posadzkarz
- cieśla budowlany
- monter konstrukcji żelbetowych

o 3-letnim okresie nauczania
- mechanik maszyn budowlanych

Uczniom zamiejscowym zapewnia się całodzienne wyżywienie oraz zakwaterowanie w internacie.

Na kierunek – MALARZ BUDOWLANY przyjmowane są również dziewczęta (bez możliwości zakwaterowania w internacie).

Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Budowlanej absolwenci mają prawo kontynuowania nauki w 3-letnim Wieczorowym Technikum Budowlanym dla Pracujących w Jaworznie.

Kandydaci winni niezwłocznie złożyć lub przesłać listownie następujące dokumenty:

- podanie
- skrócony odpis aktu urodzenia
- świadectwo zdrowia stwierdzające zdolność wykonywania zawodu
- 3 fotografie
- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej (dołączyć w czerwcu bezpośrednio po zakończeniu nauki).

Adres szkoły: **Zasadnicza Szkoła Budowlana Chrzanowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, ul. Szopena 40, 32–510 Jaworzno, tel. 35-81.**

K-123

Dlaczego mało jest polskich filmów dla dzieci i młodzieży?

Dziś rozmawiamy z wybitnym polskim reżyserem ANDRZEJEM WAJDĄ! Twórcą „Popiołów", „Ziemi obiecanej", „Wesela", „Smugi cienia" i „Człowieka z marmuru" zamierza zrealizować film dla dzieci.

– Co Pan sądzi o filmach dla dzieci i młodzieży w Polsce? Dlaczego jest ich tak mało?

– Po prostu dlatego, że bardzo trudno jest robić takie filmy. Trudność polega na tym, że film dla dzieci powinien mieć te wszystkie zalety, które ma film dla dorosłych, ale nie wolno reżyserowi użyć ani brutalności, ani seksu ani politycznych gwałtowności – słowem tego wszystkiego co jest nieodzownym materiałem żywego kina. Trzeba pozbyć się tego wszystkiego co jest tak atrakcyjne dla dorosłych – a w to miejsce pokazać szlachetność, bezinteresowność, czystość... i to jest bez porównania trudniejsze do wyrażenia na ekranie. Czy zatem jest dziwne, że tych filmów jest mało i co gorsza są one przeważnie marne?

Wiem, że istnieje potrzeba takich filmów, ale ja unikałem ich rozmyślnie, rozumiejąc jaka to odpowiedzialność. Filmów dla dzieci jest mało, więc jakikolwiek by się nie ukazał, zdobędzie sobie widownię i ten fakt też nie jest zachęcający. Nie ma konkurencji i to stwarza „taryfę ulgową".

– Jaki, zdaniem Pana, powinien być dobry film dla dzieci?

– Na świecie robi się wiele takich filmów. Opowiadanie musi być klarowne, jego czytelność absolutna. Były czasy, kiedy każdy film był równocześnie dla dorosłych i dla dzieci. Myślę o amerykańskiej komedii lat dwudziestych. Chaplin po skończeniu filmu posyłał z nim swoich dwóch asystentów do jakiegoś peryferyjnego kina, aby obserwowali reakcje publiczności. Kiedy wracali zadawał im zawsze tylko jedno pytanie: „Co dzieci?" I jeżeli dzieci się śmiały, to uznawał film za skończony, a jeśli nie – znów go przerabiał tak długo, aż osiągnął ten właśnie wspaniały efekt, że śmiały się dzieci. Wiedział, że wtedy dorośli też będą musieli być poruszeni. Nie trzeba więc robić filmów wyłącznie dla dzieci, ale jak dotychczas udało się to tylko naprawdę Chaplinowi...

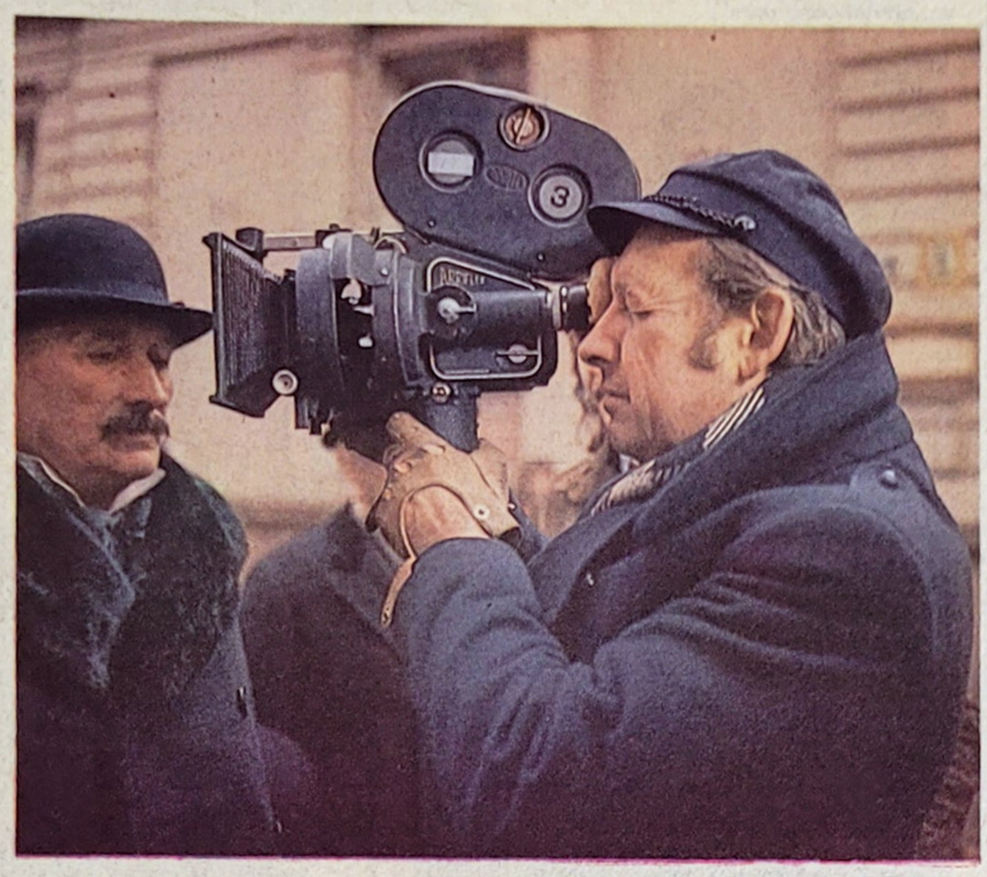

Fot. CAF

– Czy taki film musi być wychowawczy?

– Tak, to jest podstawowy warunek, od którego powinno się zacząć. Ale myślę – że dla człowieka, który decyduje się robić podobny film nie stanowi to żadnej trudności. Powinien on być bowiem kimś, kto ze swej natury, charakteru, myśli wychowawczo. Ktoś przewrotny, pokrętny, skomplikowany, kto nie wierzy w dobro, nie wierzy innym ludziom, nie może się podejmować takiego zadania. Nie stanie się przecież „od poniedziałku" lepszy, prostolinijny i czysty. Takich ludzi jest niewielu i może to też powód, że tych filmów jest tak mało. Myślę o filmach dobrych.

– Wrócił pan niedawno ze Stanów Zjednoczonych. Jak tam traktuje się młodą widownię?

– Amerykanie zawsze produkowali dużo filmów dla dzieci, bo nie chcą wypuszczać z rąk tak wielkiej widowni, która tak samo płaci za bilety jak dorośli. U nas np., gdyby teatry musiały same na siebie zapracować, powinny grywać coś dla dzieci obok „dorosłych" przedstawień. A repertuar? Wyobrażam sobie z powodzeniem jakąś sztukę Szekspira, czy Moliera. Np. „Skąpiec". Jest wiele skąpych dzieci. I kto wie, czy ta sztuka nie poruszyłaby dzieci bardziej niż bajeczki napisane na ten temat przez grzecznych wychowawców. Oczywiście, pewne rzeczy trzeba by zrobić czytelniej, jaśniej i prościej. Jak z tego widać – myślę nie tylko o filmie, mogłoby to być przedstawienie teatralne. Chcę się tą dziedziną zająć, bo rozumiem, że to jest potrzebne. Ile razy ktoś z wybitnych teatralnych reżyserów zrobił coś takiego (choćby Dejmek i jego „Pan Kleks") – budziło to zawsze wielkie zainteresowanie i poruszenie. A i Pani pewnie oglądała to jako dziecko!...

– A praca z dziećmi? Jest przecież trudniejsza niż z aktorami zawodowymi?

– Wcale nie uważam, że w tych filmach, czy sztukach muszą grać dzieci. To jest jedno z nieporozumień, że poprzez dziecięcego bohatera trafia się do dziecięcej widowni. Mamy przecież wspaniałych aktorów, którzy potrafiliby grać dla dzieci: np. Franciszek Pieczka czy Wojciech Pszoniak, który potrafi zagrać wszystko, nawet minerały.

– A jednak bywają sytuacje...

– ...które mogą być opowiadane tylko przez dzieci. To prawda. Ale też oglądając dzieci w filmach utwierdzam się w przekonaniu, że mają one naturalną łatwość grania. Oczywiście dzieci powinny się pojawiać w filmach dla nich, ale niekoniecznie w roli głównego bohatera.

– Dlaczego chciałby Pan nakręcić film dla dzieci?

– Dlatego, że po prostu jestem już dostatecznie dojrzałym człowiekiem, by móc zrobić taki film. Jest też według mnie coś nienaturalnego w tym, że moja córka, która ma już dziesięć lat i wie, że ojciec jest reżyserem, nie może obejrzeć żadnego z moich filmów.

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

REDAKCYJNA POCZTA

Łatwy przedmiot

Od półrocza lekcje wychowania muzycznego mamy z nową nauczycielką. Od początku stosunki między nami nie są przyjazne. Kilka dni temu udało się nam nielegalnie zajrzeć do dziennika. Na widok naszych stopni ze śpiewu (wystawionych już na koniec roku) zaniemówiłyśmy. Same oceny dobre i dostateczne! Ale za co?! Nigdy nie miałyśmy takich złych ocen z tego przedmiotu! Ogromnie zależy nam na bardzo dobrych ocenach, bo przecież świadectwo z VII kl. liczy się w szkole średniej. W ogóle nie wiemy, jak można z tak łatwego przedmiotu, jakim jest śpiew, postawić trójkę na świadectwie. Jeśli to możliwe, prosimy o wydrukowanie naszego listu, może to coś zmieni.

Arleta i Maria.

OD REDAKCJI: Każdy przedmiot, którego się uczycie, jest ważny. Niezależnie od tego, czy jest to matematyka, wychowanie muzyczne czy biologia. I każdy z nich należy traktować poważnie. Do redakcji w ostatnim okresie nadeszło sporo listów na temat „łatwych", inaczej mówiąc mniej ważnych przedmiotów i tych, które się liczą. Autorzy tych listów naszym zdaniem nie mają racji. Na ogólne wykształcenie i wychowanie człowieka składa się wiele elementów. Pewne z tych elementów zawarte są właśnie w tych „błahych", jak się Wam wydaje, przedmiotach. Nauczycielka prowadzony przez siebie przedmiot traktuje po prostu poważnie.

Intencje miałam dobre

Siedzę z chłopcem, który powtarza klasę. Nikt nigdy nie chciał się z nim przyjaźnić. Ja postanowiłam to zrobić. Pomagałam mu w nauce, dużo rozmawialiśmy ze sobą. Pewnego dnia jedna z nauczycielek zażartowała z nas, radząc mi, abym się od tego chłopca trzymała z daleka. Koleżanki i koledzy podchwycili ten żart i teraz nie mam spokoju. Mój kolega z ławki – zamknął się w sobie i zaczął chodzić na wagary. Nie wiem, co zrobić, żeby przestać być tematem żartów. Miałam przecież dobre intencje...

Ika

Barbara Opacz (kl. VII), ul. Karola Miarki 11, 42-622 Świerklaniec, woj. Katowice, interesuje się twórczością artystyczną i regionalnymi strojami ludowymi.

Dlaczego uważają nas za gorszych?

Nie umiemy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego istnieje różnica między młodzieżą wiejską a miejską. Uczymy się lepiej od tych z miasta, ale oni w ogóle nie liczą się z nami. Czy jesteśmy gorsi dlatego, że jesteśmy ze wsi?

Trzy Danki

OD REDAKCJI: Proponujemy, aby na to pytanie odpowiedzieli sami czytelnicy, a najciekawsze wypowiedzi wydrukujemy.

DOM MODY świata młodych

NOGI TEŻ WAŻNE

I to, co na nogach również. W związku z tym dzisiaj będzie mowa o butach. Pierwszy raz zresztą w całej historii Domu Mody „Świata Młodych". Zostałam do tego zdopingowana szaloną wręcz liczbą listów na ten właśnie temat. Co prawda wydawało mi się dotychczas, że jak wspominam o butach na marginesie innego głównego tematu, to wystarczy. Widocznie się myliłam, przepraszam.

Tak się składa, że to, co aktualnie najmodniejsze, jest równocześnie superwygodne i praktyczne. Jeśli chodzi o buty, jest to sytuacja raczej wyjątkowa, co chciałabym w związku z tym podkreślić. I przy okazji wyrazić swoje głębokie życzenie – oby tak zostało już na zawsze! A fe, jeszcze dzisiaj mi cierpnie stopa, gdy przypomnę sobie swoje przebojowe pantofle sprzed dwóch lat na taaakiej podeszwie. Okropieństwo!

Przy rzeczach o charakterze sportowym królują w tej chwili niepodzielnie trampki i tenisówki, poza nimi ogromnie modne są sandały –, takie najzwyklejsze ze zwykłych, na płaskim obcasie, albo w ogóle wręcz bez obcasa, zapinane na pasek. Która z Was nosi numer obuwia mniejszy niż szóstka, ma sprawę z głowy – są takie właśnie sandały w sklepach z obuwiem dla dzieci: nierzadko bardzo kolorowe, stosunkowo szerokie, na płaściuteńkim obcasiku – właśnie to, co trzeba! Kto ma nogę większą i kłopot będzie też nieco większy. Ale zostają jeszcze przecież i drewniaki, i sandałki z długimi sznurowadłami obwiązywanymi dookoła łydki (tzw. espadrille), i tenisówki-czółenka.

Cechą charakteryzującą tegoroczne lato są skarpetki. Parę lat temu przebojem były podkolanówki, teraz – są to skarpetki krótkie. Strasznie modnie jest nosić je zwinięte u góry w rulonik. Na dobrą sprawę to nosi się takie krótkie skarpetki do wszystkiego – nawet do lakierowanych czółenek zapinanych na paseczek, a do trampek, sznurowanych tenisówek, dziecinnych sandałów, to wręcz obowiązkowo. Może to w pierwszej chwili wyglądać trochę dziwnie, jako że do każdej nowej rzeczy w modzie trzeba się najpierw przyzwyczaić, ale chciałabym dodać, że moda modą, ale takie skarpetki, to rzecz ogromnie praktyczna – unika się dzięki nim w sposób radykalny wszelkich obtarć, odgnieceń, bąbli itp., o które w czasie lata wcale przecież nie jest tak trudno. Sama już wypróbowałam.

RIUSZKA

GWIAZDOZBIÓR

Mariusz Borecki w ostatnim filmie Stanisława Jędryki pt. „Najlepsze w świecie" zagrał rolę Kaja – chłopca-sieroty walczącego o uczucie ojczyma

Grażyna Michalska jest „odkryciem" Janusza Nasfetera. Zagrała w jego „Motylach" mając zaledwie dwanaście lat. Po roli Honorki w tym filmie była jeszcze Anią w „Nie będę cię kochać" i grała w filmie tego samego reżysera „Moja wojna, moja miłość". Prócz tego Andrzej Wajda powierzył jej w „Ziemi obiecanej" rolę młodziutkiej robotnicy, a radziecki reżyser Ozierow rolę łączniczki w filmie „Komuniści". Grażyna grała też w teatrze: w „Sprawie Dantona" i w „Pierwszym dniu wolności".

Fot. Roman Sumik, archiwum

NAJMŁODSI W FILMIE

Dziś wszystkim czytelnikom ofiarowujemy prezent w postaci rewii najmłodszych aktorów filmowych. Czasem są to tylko aktorzy jednej roli, a praca w filmie stanowiła jedynie barwny epizod w ich życiu. Ale też nie jest wykluczone, że ich nazwiska spotkamy kiedyś w czołówkach polskich filmów. W każdym razie bardzo sympatycznie zapisali się w pamięci widzów i naszym zdaniem zasługują na przypomnienie ich w „Gwiazdozbiorze".

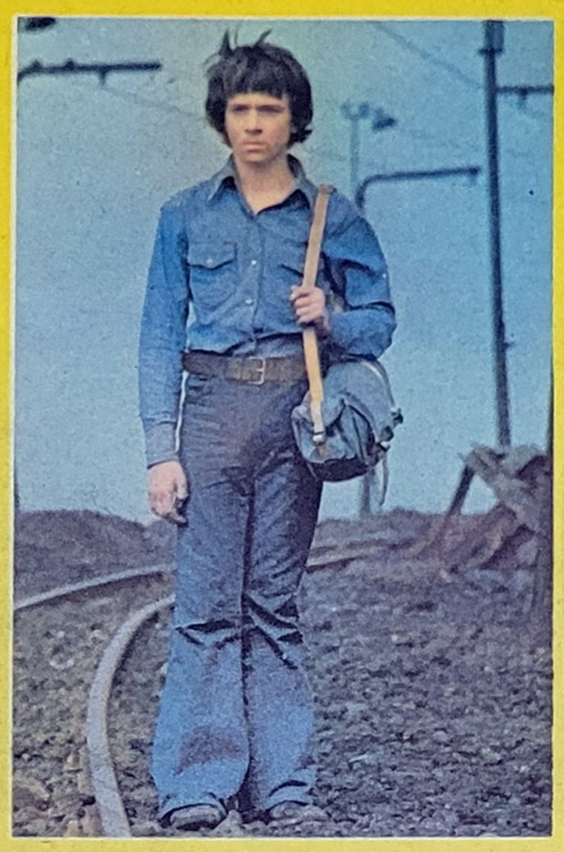

To zdjęcie Marka Sikory pochodzi z „Końca wakacji" Stanisława Jędryki. Również w „Szaleństwie Majki Skowron" – serialu TV ten sam reżyser obsadził Marka w głównej chłopięcej roli

Monika Rosca w „Pustyni i w puszczy" Władysława Ślesickiego stworzyła niezapomnianą kreację małej Nel

W filmie „Mniejszy szuka dużego" Konrada Nałęckiego rolę fenomenalnej Filomeny zagrała Magda Nałęcka, a jej partnerem był Robert Schmidt

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Dlaczego mało jest polskich filmów dla dzieci i młodzieży?

Mam już pewne doświadczenia i pewną umiejętność w reżyserowaniu filmów i mogę chyba zmierzyć się z tym trudnym problemem. To jest mój zawód i znajduję w tym przyjemność, że pokonuję ciągle nowe trudności. Tak samo jak myślę, by w przyszłości zrobić komedię, choć nigdy dotąd jej nie robiłem.

– A film fantastyczno-naukowy?

– Lubię ten gatunek... czytać, ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o film to czai się tutaj straszne niebezpieczeństwo. W literaturze wszystko to, co jest napisane, przenosi się na wyobraźnię czytelnika, który tworzy sobie ten świat po swojemu. Należałoby więc zrealizować film, który poruszyłby wyobraźnię, który przerastałby wyobraźnię czytelnika. To jest bardzo trudne, bo trzeba tworzyć fikcyjny świat, a ten świat okazuje się zawsze światem przeszłości a nie przyszłości. Przeważnie na ekranie pojawia się coś, co już było. Coś, co jest podobne do kubistycznych obrazów, do futurystycznych prób architektonicznych z lat dwudziestych czy trzydziestych. Zresztą mój profesor scenografii, Karol Frycz, kiedy jeszcze byłem studentem ASP, opowiedział kiedyś bardzo interesującą własną przygodę dobrze ilustrującą tę trudność.

W latach trzydziestych na scenie jednego z teatrów warszawskich przygotowywał scenografię do sztuki, która miała być sztuką o przyszłości i nie wiedział, jakie zaprojektować kostiumy. W pewnym momencie wpadł na najprostszy pomysł, który okazał się właśnie słuszny. Sprowadził mianowicie wiosenny żurnal z Paryża, który był jeszcze nie znany w Warszawie i tak kazał ubrać aktorów. Po miesiącu żurnal przyszedł do Warszawy i wszyscy zaczęli się tak ubierać – ale właśnie to małe wyprzedzenie było szalenie istotne. Być może właśnie dlatego amerykańskie filmy tego rodzaju tak nas satysfakcjonują „Odyseja 2001" mnie satysfakcjonowała bardzo, a był to po prostu sfotografowany rezultat ówczesnych badań NASA.

– Co sądzi Pan o projekcie zorganizowania zespołu filmowego, który zajmowałby się wyłącznie produkcją filmów młodzieżowych?

– Moim zdaniem to nieszczęśliwy pomysł. Podobnie jak uważam, że nie można pisać książek wyłącznie dla dzieci. Proszę zwrócić uwagę, że ci co piszą tylko takie książki, rzadko zostają w literaturze. Podobnie jest z filmem. Zostają tylko ci, którzy w pewnym momencie swego życia, z jakichś własnych artystycznych powodów zdecydowali się napisać powieść dla dzieci, czy zrobić film. Zawodowcy od dziecięcej literatury, oczywiście, zapełniają półki książkami, wypełniają repertuar kinowy, ale mija to bez echa.

– Co by Pan chciał przekazać czytelnikom „Świata Młodych", którzy być może już niedługo będą widzami i najsurowszymi krytykami Pana filmu dla nich.

– Że bardzo chciałbym zrobić coś dla młodzieży, może nawet bardziej dla dzieci. Starsi mają więcej możliwości. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić i co by to miało być. Moje poszukiwania tematu biegną dwiema odrębnymi drogami. Z jednej strony myślę, żeby znaleźć coś, co młodzież lubi, co czyta. Z drugiej – o przerobieniu czegoś, co jest dla dorosłych, a co zdecydowanie mogłoby być oglądane przez dzieci.

– W imieniu naszych czytelników, którzy z niecierpliwością będą czekali na efekt tych poszukiwań, życzę powodzenia i dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiała EWA BIELSKA

GRAMY W POLSKIE WARCABY (11)

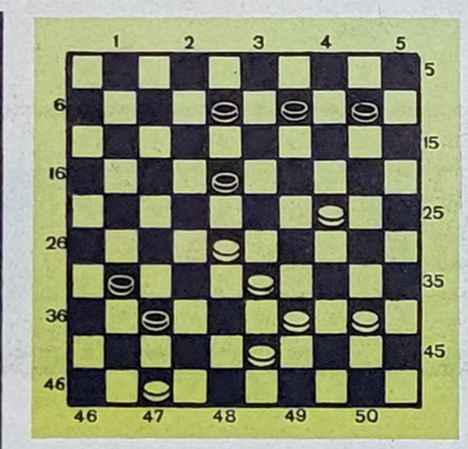

UDERZENIE TURECKIE

Kombinacja ta opisana została już ponad 200 lat temu (w 1770 roku) w książce pt. „Traktat o warcabowej grze" Francuza Manurie. Wymyślił on zapis partii warcabowej notacją cyfrową, która do dziś obowiązuje.

Uderzenie tureckie jest piękną, ale bardzo trudną kombinacją. Charakteryzuje się tym, że celowo umożliwia się przeciwnikowi uzyskanie damki, aby następnie, wykorzystując jej siłę, „ofiarować" mu jeszcze kilka kamieni. Jednocześnie ustawia się swoje kamienie tak, aby ostatnim, tzw. tureckim uderzeniem rozstrzygnąć wynik partii na swoją korzyść.

Zobaczmy to na przykładzie (rysunek 1) **1. 47–41 37:46 2. 39–34 46:29 3. 34:5 X.** (rysunek 2). Damka wpada jakby do twierdzy przeciwnika, w której zostaje zniszczona.

Aby nie mieć kłopotów ze stosowaniem w praktyce „tureckiego uderzenia" lub z obroną przed nim, należy pamiętać o dwóch bardzo ważnych przepisach gry w warcaby. 1) Przy biciu kamienie wolno zdejmować z szachownicy dopiero po jego zakończeniu. 2) Przeskakiwać przez ten sam kamień wolno tylko raz.

Dla celów szkoleniowych zamieszczamy ciekawe zadania. Na rys. 3 przedstawiona jest pozycja, w której białe zaczynają i wykonując tylko jeden ruch, zbijają wszystkie bierki przeciwnika (oczywiście nie przeskakując dwa razy przez jeden i ten sam kamień). Rozwiązanie na rys. 4.

ROMUALD FREY

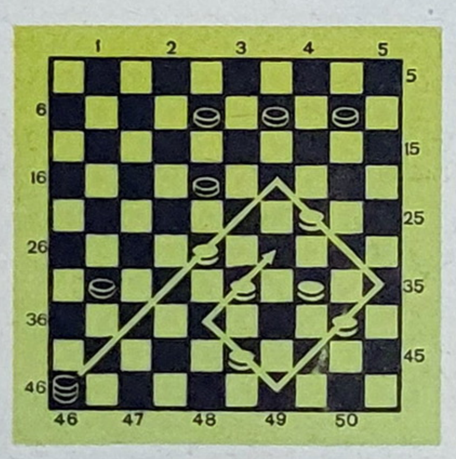

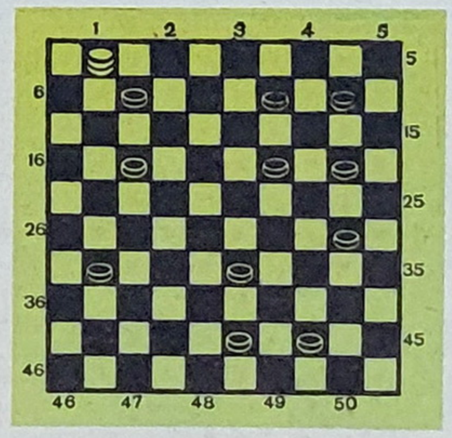

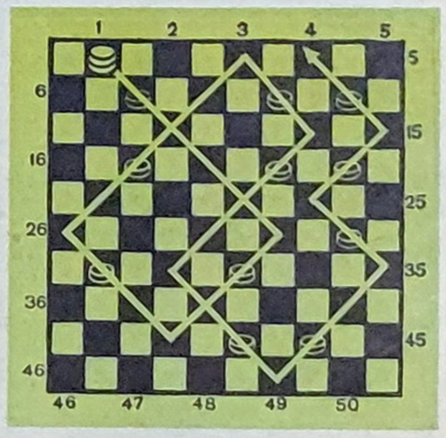

Historia Francji w... komiksach!

(PAP). Opowieści rysunkowe o najdawniejszych czasach: o Wercyngetoryksie, Juliuszu Cezarze, Attyli, Klowisie, Karolu Wielkim i Wikingach znajdą się w pierwszym komiksowym albumie słynnego wydawnictwa francuskiego „Larousse". Jest to historia ziem francuskich od 40 r. p.n.e. do 800 r. naszej ery. Oczywiście więcej jest legend i przypuszczeń dotyczących czasów, kiedy powstawało państwo Galów aniżeli faktów prawdziwych. Mimo to komiksowe ilustracje owych zamierzchłych wydarzeń staną się treścią pierwszego z cyklu wielu tomów rysowanej historii Francji. Kolejne albumy będą ukazywały się co trzy miesiące. Radość młodych francuskich zbieraczy komiksów mąci nieco wysoka cena poszczególnych tomów. **(eb)**

REPORTER Świata Młodych

KTO WYCHOWUJE?

Często w naszym codziennym życiu mówimy o kulturze i często można usłyszeć krytyczne opinie o młodzieży, która według sądów ludzi dorosłych jest dzisiaj niesympatyczna, arogancka, bez ideałów. Trzeba przyznać, że tak częściowo jest, ale nie całkowicie. Często przecież spotykamy młodych ludzi palących papierosy, pijących wino, niekiedy nawet wódkę.

Czyja to wina? Kto odpowiada za tych młodych ludzi? Większość moich koleżanek i kolegów uważa, że jest to wyłącznie wina rodziców, którzy nie umieją dbać o dobro swych dzieci. Można by się z tym zgodzić, ale znowu powstaje pytanie: Czy rodzice mają tyle czasu, aby móc uczyć swoje dzieci rzeczy dobrych i pożytecznych? Przecież to jest ich obowiązek – odpowiedział mi ktoś. Rzeczywiście. To ich obowiązek. Lecz sami musicie przyznać, że niektórzy z nich pracują do późnych godzin. Mają niekiedy nocne dyżury, z których przychodzą zmęczeni i śpiący. Często nie widzą swych dzieci. Kiedy wychodzą do pracy, dzieci wybierają się do szkoły. Kiedy wracają, ich dzieci już śpią. I właśnie najczęściej taka młodzież, nie mająca opieki rodziców, czasem po prostu z nudów, zaczyna zadawać się z tą „gorszą" grupą, chuliganami, obibokami, „urodzonymi w niedzielę".

A przecież jest tyle ciekawych rzeczy, które można robić w życiu. Jest także harcerstwo, które powinno przecież młodzież wychowywać. Jeżeli rodzice nie mogą znaleźć czasu na opiekę nad swymi dziećmi powinniśmy ten czas znaleźć my. Jeżeli młodzi ludzie nie umieją znaleźć przyjaciół w swoich rodzicach czy krewnych, powinni ich znaleźć w nas, harcerzach. I od nas będzie zależeć ich przyszłość. Ta „gorsza" młodzież jeśli znajdzie w nas sprzymierzeńców i opiekunów, może wyrośnie na ludzi szlachetnych i godnych pochwały?

JOLKA,
Nowy Targ
korespondencja pierwsza

Przedstawiam dziś bardzo oryginalny projekt wystrzelenia w kosmos dużego teleskopu astronomicznego. Wprawdzie jego średnica lustra jest ponad dwukrotnie mniejsza od największego teleskopu zbudowanego na Kaukazie, ale będzie znajdował się w znacznie lepszej sytuacji, poza atmosferą, która – jak wiadomo – jest zmorą astronomów. Należy się więc spodziewać, że „Oko Cyklopa" dostarczy nam nie znanych do tej pory obrazów nieba.

Polecam również doniesienie Artura Lewczuka na temat możliwości istnienia drugiego księżyca Ziemi.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

CZY TYLKO JEDEN?

W liście tym chciałbym poruszyć problem, który przeszło od stu lat nurtuje astronomów. Otóż jest możliwe, że nie tylko Mars i Jowisz ale także Ziemia przekształciła małą planetoidę w swego satelitę. 21.III.1846 r. znany francuski astronom E. Petit podał do publicznej wiadomości, że dostrzegł drugiego satelitę Ziemi. Miał się on przedstawiać jako obiekt poruszający się ze znaczną prędkością między gwiazdozbiorem Oriona, a gwiazdozbiorem Psa Wielkiego, lecz doniesienie o tym odkryciu przyjęto z wielką rezerwą. Należy też wspomnieć o H. Pickeringu, który podobnie jak Petit próbował odszukać drugiego księżyca Ziemi. Przypuszczał on, że księżyc nr 2 ma objętość zaledwie kilku kilometrów sześciennych i obiega naszą planetę w 2 – 3 godziny w odległości kilku tysięcy kilometrów.

Fiaskiem zakończyły się również poszukiwania amerykańskiego astronoma Clyde W. Tombaugha, który w latach 1953–56 dokonywał podobnych obserwacji. Jednak istnienie księżyca 2 w świetle rozważań teoretycznych, jest niemal pewne. Właściwie nasz drugi naturalny satelita został odkryty za pomocą wyliczeń matematycznych, lecz istnienie jego nie zostało potwierdzone obserwacyjnie. O istnieniu dodatkowego satelity Ziemi wnioskujemy na podstawie obserwacji sztucznych satelitów. W ruchu niektórych zauważono bowiem pewne zakłócenia, które nie były wywołane ani asymetrią ziemskiego pola magnetycznego, ani też działaniem innych znanych ciał niebieskich. Na tej podstawie astronom amerykański Bagdy stwierdził, że dokoła Ziemi krąży kilka ciał o średnicy 30 metrów i one prawdopodobnie są odpowiedzialne za powyższe zakłócenia.

Należy też wspomnieć o istnieniu dwóch księżyców pyłowych, które w 1961 r. odkrył astronom polski, Kazimierz Kordylewski. Jeden z nich wyprzedza Księżyc na orbicie o 60°, drugi jest w tyle również oddalony o 60°. Są to obłoki pyłowe mające średnicę dziesięć razy większą od Księżyca, z tym że poszczególne pyłki są oddalone od siebie około jednego kilometra. Odkryte przez K. Kordylewskiego księżyce są utworzone z pyłu kosmicznego, który został przechwycony przez pole grawitacyjne Księżyca. Tak więc stwierdzenie, że Ziemia ma jeden Księżyc jest wątpliwe.

Artur Lewczuk
ul. Graniczna 1
21-500 Biała Podlaska

„ŚNIEG-3"

– nowy francusko-radziecki eksperyment kosmiczny

Trwają przygotowania do nowego radziecko-francuskiego eksperymentu kosmicznego „Śnieg-3". Głównym zadaniem tego eksperymentu będzie kontynuowanie badań astronomicznych poza atmosferą ziemską, a przede wszystkim badanie potoków promieniowania gamma, pochodzących z różnych obiektów kosmicznych.

Po raz pierwszy eksperyment „Śnieg" prowadzony był z pokładu radzieckiego satelity „Prognoz-2", wystrzelonego w 1972 roku. Na satelicie tym znajdowało się urządzenie „Śnieg-1" będące spektrometrem analizującym potoki neutronów i promieniowania gamma. Przy jego użyciu – został on skonstruowany przez francuskich specjalistów – otrzymano cenne informacje dotyczące niezwykle wysokiej aktywności Słońca, jaką notowano w sierpniu 1972 roku.

Pomyślny przebieg eksperymentu „Śnieg-1" był bodźcem do dalszego rozwoju wspólnych badań w dziedzinie astronomii rentgenowskiej. Jednym z zadań przygotowywanego obecnie eksperymentu, jest lokalizacja źródeł promieniowania gamma na nieboskłonie.

W ramach eksperymentu „Śnieg-3" radziecka rakieta nośna wprowadzi na orbitę satelitę wyprodukowanego we Francji. We wszystkich fazach przygotowań i realizacji eksperymentu będą uczestniczyć uczeni obu krajów.

„Oko Cyklopa" na wszechświat?

Dziesięciokrotnie dalej niż najpotężniejsze z dzisiejszych teleskopów, sięgnie w kosmos amerykański „Space telescope", który – zdaniem fachowców – funkcjonować będzie przez 10 lat. Zostanie on umieszczony na orbicie ziemskiej, odległej o 500 km i będzie zdalnie sterowany. Teleskop ma długość 20 m, o średnicy soczewki 2,4 m. Aparat ten, jak twierdzą fachowcy jest bezapelacyjną rewelacją. Zachodnioeuropejska Organizacja Przestrzeni Kosmicznej (ESA), do tego stopnia zainteresowała się tym projektem, iż zdecydowała się uczestniczyć w kosztach jego budowy. ESA ma dostarczyć m. in. superczułą kamerę fotograficzną („zauważy" ona świecę z odległości 60.000 km) do zdjęć słabo widocznych obiektów i bardzo odległych ciał niebieskich.

Jerzy Poprawa
ul. Przestrzenna 32/12
50-533 Wrocław

P.S. Chętnie nawiążę korespondencję z rówieśnikami (12–14 lat) na temat możliwości życia na innych planetach i ewentualnych odwiedzin gości z kosmosu (NOL)

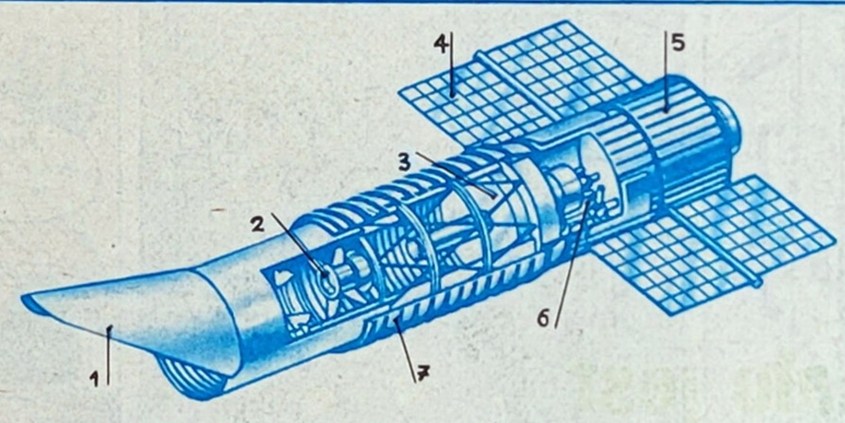

Tak ma wyglądać „Oko Cyklopa": 1 – osłona przeciwsłoneczna; 2–3 lustra teleskopu; 4 – baterie słoneczne; 5 – moduł z urządzeniami sterującymi i napędowymi; 6 – instrumenty naukowe; 7 – osłona antymeteorytowa.

LAGEOS

– pocztówka z przeszłości

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł o sztucznych satelitach Ziemi z nr 17 „ŚM". Chciałbym dodać coś na temat jednego satelity, który ma wyjątkowe przeznaczenie. Został wystrzelony na orbitę okołoziemską z Cap Canaveral na Florydzie (USA) i ma przekazać informacje o naszej planecie ludziom, którzy będą ją zamieszkiwać za 8 milionów lat. Satelita ten nosi nazwę LAGEOS (laserowy geodynamiczny satelita), nieoficjalnie zaś nazywa się go „pocztówką z przeszłości". LAGEOS to kula o średnicy 60 cm wykonana z miedzi i ważąca 410 kilogramów. Pokryta jest cienką aluminiową powłoką, w której wykonano 426 wgłębień. Każde z nich – wypolerowane jak lustro – odbija wysłany z Ziemi promień lasera. Mierząc czas, w jakim promień pokona odległość od Ziemi do powierzchni satelity, można z dokładnością do kilku centymetrów obliczyć odległość danego punktu na kuli ziemskiej od LAGEOS, a tym samym zarejestrować przesunięcia skorupy ziemskiej.

LAGEOS krąży po orbicie okołoziemskiej na wysokości 5880 kilometrów. Wewnątrz kuli umieszczono stalową tabliczkę z wygrawerowanym na niej listem do naszych dalekich potomków, którzy zechcą, być może, zapoznać się z urządzeniem i przeznaczeniem satelity. W lewym górnym rogu tabliczki wygrawerowany jest sam satelita, obok cyfry od 1 do 10 zapisane kodem dwójkowym. Jeszcze bardziej na prawo – Ziemia krążąca wokół Słońca. Poniżej znajdują się 3 mapy kontynentów kolejno po sobie następujące. Pierwsza mapa przedstawia położenie kontynentów sprzed 225 milionów lat. Liczba ta została napisana również kodem dwójkowym. W środku znajduje się mapa z obecnym kształtem lądów. Zaznaczono również miejsce, z którego został wystrzelony satelita. I na samym dole hipotetyczna mapa kuli ziemskiej za 8,4 miliona lat. Rysunek wyjaśnia, że mniej więcej wtedy LAGEOS zostanie stopniowo hamowany przez górne, rozrzedzone warstwy atmosfery i w końcu wyląduje na naszym globie.

Ireneusz Stachnio
ul. Świerczewskiego 3/7
55-230 Laskowice-Osiedle

– W słup – odpowiedziałem.

– Co to takiego? – zapytał Sutułow.

– Bardzo wesoła zabawa... Związcie go! – poleciłem Tulkinowi, Mieszkowi i Dieriabinowi.

Chłopcy z przyjemnością zaczęli wiązać Sutułowowi ręce i nogi. Sutułow nie sprzeciwiał się.

– W domu u ciebie nie ma nikogo? – zapytałem Sutułowa.

– Wyjechali, wrócą dopiero rano – radośnie oświadczył Sutułow.

– Wspaniale! – powiedziałem też z radością. – Więc można się bawić do rana?

– Oczywiście! – jeszcze radośniej odpowiedział Sutułow.

– Postawcie go na krześle – poleciłem Tulkinowi, Dieriabinowi i Mieszkowowi.

Mieszkow, Dieriabin i Tulkin postawili Sutułowa na krześle. Sam do tego ręki nie przykładałem.

– Stoisz? – zapytałem Sutułowa.

– Stoję – potwierdził Sutułow.

– Ślicznie – powiedziałem wchodząc na sąsiednie krzesło. – Czy twój zegarek dobrze chodzi?

– Pytanie! – roześmiał się Sutułow. – Tik-tak! Tik-tak?

Przycisnąłem do swojego ucha zegarek Sutułowa, pokręciłem głową i powiedziałem:

– A moim zdaniem niezbyt dobrze... „Tik" jest, a „taka" nie ma...

– Przestań! – powiedział groźnie Sutułow.

– Możesz sam posłuchać – powiedziałem i przyłożyłem zegarek do ściany, a Sutułow przyłożył do zegarka swoje ucho i na jego twarzy rozlał się uśmiech.

– Słyszysz? – zapytałem.

– I „tak" słyszę – potwierdził Sutułow – i „tik" słyszę.

– No, to słuchaj – powiedziałem – do rana... Ale przyciskaj zegarek silniej uchem do ściany, bo upadnie...

Potem chwilę pomilczę i powiem: „To za Tanię... za Kuzowlewą, żebyś się do niej nie zalecał!" A później Tulkin, Mieszkow i Dieriabin oczywiście ze śmiechu przewrócą się na podłogę, a potem... ale co będzie potem, już nie zdążyłem sobie wyobrazić, ponieważ w tym właśnie czasie dobiegłem prawie do domu. Pozostawało jeszcze przedrzeć się przez krzaki akacji i przeleźć przez płot. Nagle prawie obok usłyszałem gwar i głosy, z których wyróżniał się głos staruszka Sutułowa:

– Nie bójcie się, chłopcy... Biorę tego Loszkę na siebie. Dosyć cackania się z nim.

– A ty, Dieriabin, nie denerwuj się – wtrącił Mieszkow. Ty dont bi in e pitty! – uspokajał Dieriabina. – Wszyscy jesteśmy za tym, żeby Kuzowlewa przyjaźniła się z tobą, a nie z tym narwańcem. A skoro wszyscy chcemy, to znaczy, że tak będzie. Du ju anderstend?

– Of korz – odpowiedział Dieriabin. – Senkju weri macz...

– A dlaczegóż to z Dieriabinem? – zaperzył się Sutułow. – Kuzowlewa będzie się przyjaźnić ze mną. Wszyscy anderstend?

Wszyscy milczeli, a ja pomyślałem zaciskając pięści: „Jeszcze zobaczymy, kto będzie anderstend, a kto – nie anderstend"

W tym momencie od strony cmentarza ukazał się biegnący ulicą Tulkin z całą gromadą chłopców i świecąc latarką, zawołał w biegu:

– Nie ma go tam! Cały strych przetrząsnąłem! Może przyszedł do domu?

Zachowywałem się cichutko w krzakach i na wszelki wypadek pomacałem w kieszeni plastykową torebkę z gąbką nasyconą „żółtą febrą". Chyba trzeba ją będzie dzisiaj uruchomić. Coś mi się wydaje, że dziś Sutułow od dżudo w słowach przejdzie do – praktyki.

– Nou – powiedział Mieszkow po angielsku – if aj hed sin him.

Słów nie zrozumiałem, ale w głosie Mieszkowa była wyraźna pogróżka.

– Gdzież on mógł przepaść? Ze stróżówki znikł, a do domu nie przyszedł? – zapiszczał Dieriabin, trzymając deskę z klawiszami na ramieniu jak strzelbę.

Może jednak w czasie bójki Dieriabin da mi deską po głowie i wtedy mimo wszystko zacznę mówić po angielsku?

– Obejść dom! – rozkazał Sutułow.

Pachołki Sutułowa przeczołgali się obok mnie. Nawet oddychać przestałem.

– No, nic – powiedział Mieszkow – teraz rozliczę się z nim za marynarkę. Urządzę mu taki torniej dou...

– A ja odpłacę mu za papugę – groził Dieriabin przekładając swoją muzyczną deskę z jednego ramienia na drugie. – Co za pomysł: porwać siebie za forsę!

Cdn

PIĘKNY KUBUŚ

TEKST I RYSUNKI
Szarlota Paweł

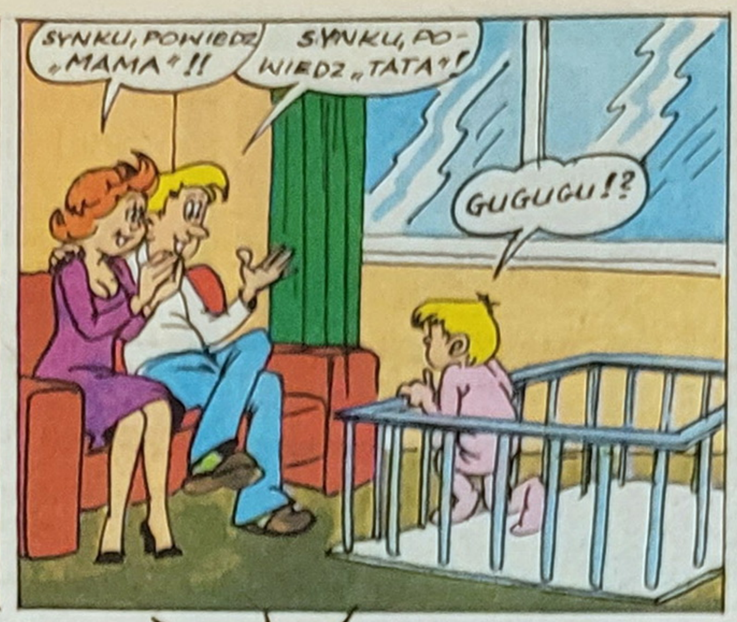

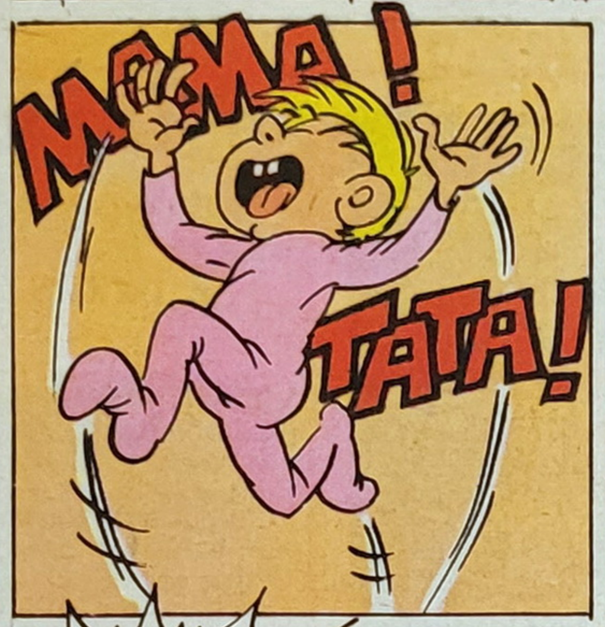

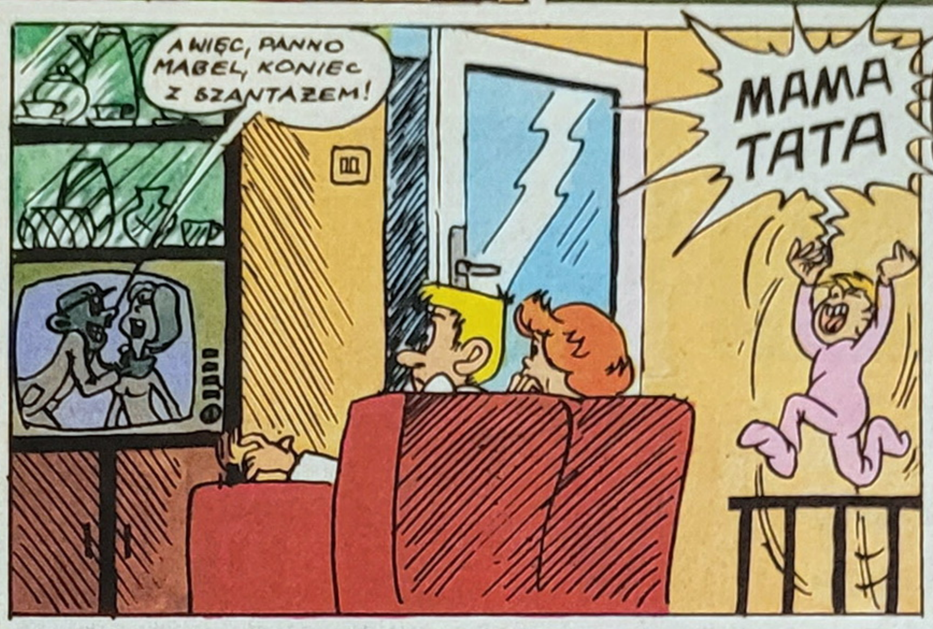

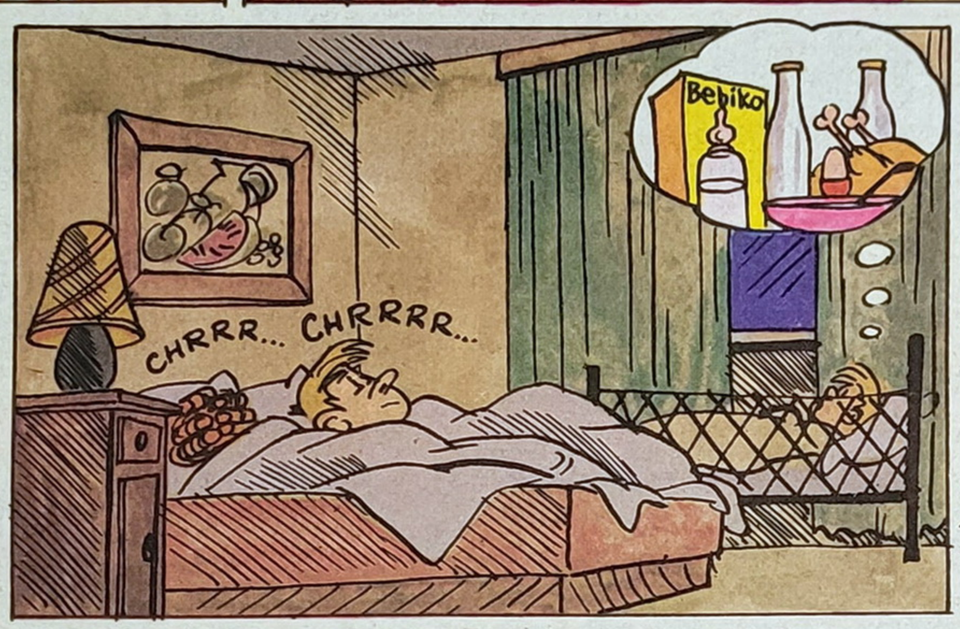

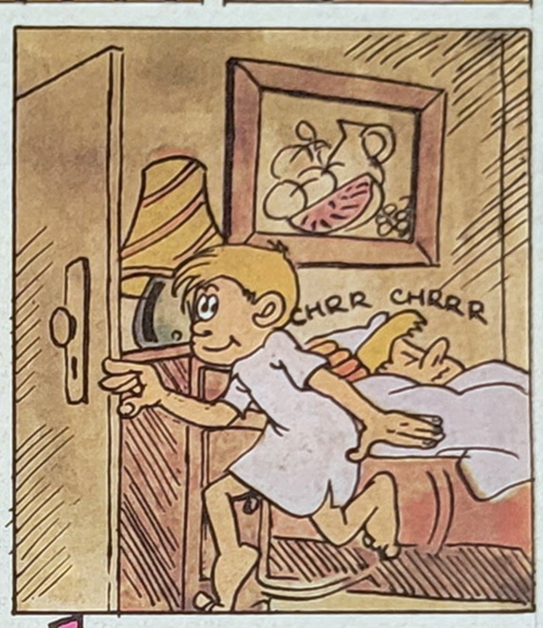

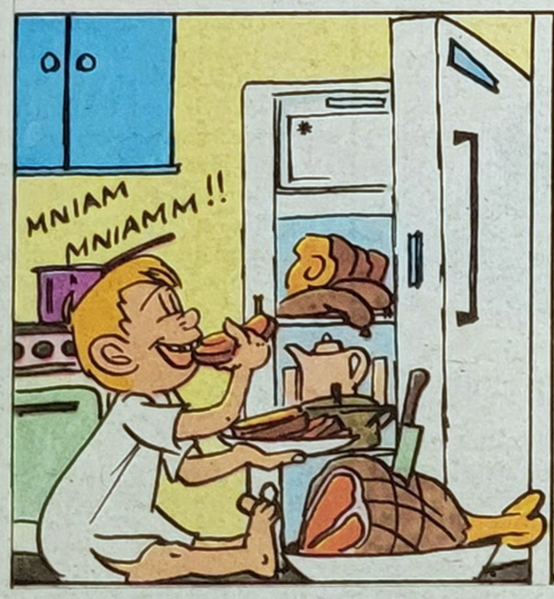

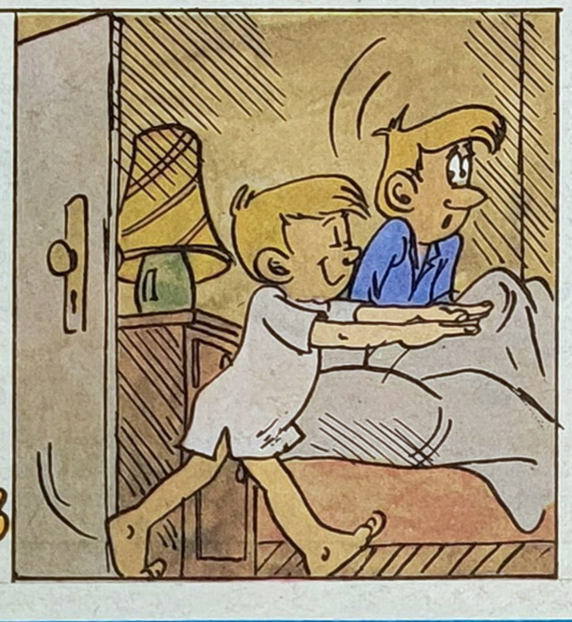

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 5 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 3234/G F-96

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

WALERY MIEDWIEDIEW tłum. z ros. Hanna Ożogowska

DO WESELA ZAGOI SIĘ czyli opowieść o najpierwszej miłości

8

– Pięćdziesiąt – uparcie powtarzał Tulkin. – Raz – pięćdziesiąt! Dwa – pięćdziesiąt! Trzy – pięćdziesiąt!

Nie zgodziłem się.

– Mam tego dosyć – powiedział Tulkin. – Nie chcę z tym mieć nic wspólnego. Nosić po cmentarzu listy z żądaniem okupu! Może jeszcze nogi połamać?

– Wynoś się! – powiedziałem. – Proszę bardzo! Nie będę płakać! Idź sobie!

– Sam się porwałeś! Sam pisałeś listy! Sam je podrzucaj! Gdybym wiedział – wolałbym oglądać telewizję.

– I podrzucę! Bez twojej pomocy podrzucę! Głupi telewidzu!

– A ty... a ty! – zawrzeszczał Tulkin. – Ty... Romeo dla ubogich!

I wtedy Tulkina coś poniosło. Jak on mnie nie przezywał! I wątrobianką, i Bambino na patyku, i sklepową galaretą!...

A ja cały czas powtarzałem spokojnie tylko jedno zdanie:

– Jeżeli jesteś naprawdę odważnym człowiekiem, rozwiąż mi ręce i powtórz jeszcze raz to, coś powiedział.

Jednak Tulkin w dalszym ciągu znieważał mnie jak tylko mógł. Wtedy nagle błysnął mi pomysł: z porwaniem wszystko przepadło moja fotografia nie ukaże się w „Tygodniu", ale jeszcze jest nadzieja: można zostać sławnym i w inny sposób... Moja fotografia mimo wszystko może ukazać się w gazecie.

– Dobrze – przerwałem wymyślającemu Tulkinowi. – Jeżeli mnie rzeczywiście nienawidzisz, to nałóż na mój beret swoją furażerkę i łupnij mnie deską po głowie – pomyślałem, że zaraz po tym uderzeniu zacznę poprawnie mówić po angielsku, jak ta Hiszpanka i oczywiście będą o mnie drukowali we wszystkich gazetach! Stanę się sławny! – Tulkin, bądź przyjacielem, daj mi deską po głowie! Zasłużyłem na to, Tulkin!

Sądziłem, że Tulkin wykona moją prośbę z przyjemnością, ale ku mojemu zdziwieniu nie tylko nie przyjął mojej propozycji, ale kategorycznie ją odrzucił.

– Łatwo chciałbyś się wymigać! – odezwał się z ciemności. – Zaraz zwołam wszystkich chłopców, odniesiemy cię na rynek i przywiążemy do straganu, gdzie sprzedają przecenione towary. A do tego rano sfotografujemy cię z podpisem: „Chłopak bez serca, który porwał się swoim rodzicom dla pieniędzy!" Twoich rodziców też sfotografujemy i podpiszemy: „Rodzice bez sumienia, którzy nie chcieli wykupić syna za żadne pieniądze!". Rozsławimy waszą rodzinę na cały świat. I twoja Kuzowlewa będzie sławna – powiemy, że to ona cię namówiła. I twojego brata nie oszczędzimy. Powiemy: wszystko wiedział, ale ukrywał...

Po tym okropnym oświadczeniu, Tulkin spłynął ze strychu po schodach, a ja zostałem sam, ze związanymi rękami i nogami, nie porwany, bez sławy, bez znajomości angielskiego języka i teraz już bez najmniejszej nadziei, że Tania Kuzowlewa kiedykolwiek zwróci na mnie uwagę.

Natężyłem się i z całej siły szarpnąłem związanymi rękami.

A TO NOWINA!

– Ja będę przewodnikiem – powiedziałem i udałem, że chcę zdjąć z ręki zegarek.

– Patrzcie no go! – rozzłościł się Sutułow. – On będzie przewodnikiem! Przewodnikiem będę ja!

– Dobrze – zgodziłem się chętnie – zdejmij swój chronometr.

– A na co ci mój chronometr? – zapytał Sutułow.

– Zaraz będziemy się bawić – powiedziałem do Sutułowa zdejmując z jego ręki wspaniały szwajcarski zegarek i mrugając do Mieszkowa, Dieriabina i Tulkina.

– W co będziemy się bawić? – zapytał Sutułow.

Dokończenie na str. 7